

# Nulla dies sine linea

z Wacławem Kłopocińskim, legendą geodezji polskiej,  
rozmawiają dziennikarze **GEODETY**

Spotykamy się w mieszkaniu naszego rozmówcy, na warszawskim Żoliborzu. Otaczają nas stylowe meble, na ścianach obrazy. Wśród nich trofeum wojenne – wykradziony Niemcom wczesny Gierymski. W gabinecie piękne, duże biurko, mapa Księstwa Głogowskiego z 1739 r. i biblioteczka. W niej, obok literatury o sztuce, liczne publikacje gospodarza starannie oprawione w granatową skórę. Na grzbietach złote litery. Dlatego właśnie *nulla dies sine linea* – żadnego dnia bez linijki.

**ZBIGNIEW LESZCZEWICZ:** Zacznijmy od trochę może odwrotnego pytania, a mianowicie czy całe swoje zawodowe życie był Pan dyrektorem?

**WACŁAW KŁOPOCIŃSKI:** Oczywiście nie. Jeśli nie jest się wygrzebanym z nomenklatury jako kandydat na dyrektora, trzeba się przedtem dać poznać z umiejętności organizowania wokół siebie zbiorowego wysiłku. Jest to bardzo trudna funkcja wymagająca kształtowania siebie jako szefa. Natomiast z pewnością można powiedzieć, że całe moje zawodowe życie było przygotowaniem do kierowania zespołami ludzkimi. Już w czasie studiów na Politechnice Warszawskiej pracując jako technik geodeta przy pomiarach Warszawy widziałem się jako właściciel biura pomiarów miast i całą swą późniejszą praktykę temu podporządkowałem. Tak się złożyło, że w końcu wojny i kilka lat po niej prowadziłem odlewnię żeliwa, własność mego brata – przemysłowca, który w tym czasie służył u Andersa. Nie była to wielka fabryka, zatrudniała 50 robotników. Z geodezją miało to tyle wspólnego, że odlewaliśmy repery, głowice do punktów poligonowych, robiliśmy stojaki do tyczek... Pech chciał, że odlewane u nas grzejniki szły na odbudowę Warszawy i to właśnie one sprawiły, że

odlewnia została upaństwowiona. Później zostałem dyrektorem technicznym w Oddziale PPM – przedsiębiorstwa państwowego utworzonego po skasowaniu funkcji mierniczych przysięgłych. Wkrótce wymienił mnie zespół partyjny, ale nie dotknęło mnie to – byłem przecież sprawnym inżynierem. Kolejna praca – w Energoprojekcie – nie wiązała się z pełnieniem funkcji dyrektorskich. Przyniosła mi natomiast umiejętności zupełnie innego rodzaju. Było to miejsce, gdzie poznałem świat inżynierów, którzy nie byli geodetami. Miałem wspaniałą okazję wyjść poza geodezyjny sposób myślenia introwertyka. Dowiedziałem się, czego projektant żąda od mapy. Na marginesie chciałbym zaznaczyć, że w mojej opinii do dzisiaj twórcy instrukcji geodezyjnych postępują tak, jakby mapa była tworzona dla geodety. Nie znam żadnego poważnego przypadku ankietowania treści mapy wśród przyszłych odbiorców, oczywiście poza mapą Warszawy 1:500, a to był już dorobek współpracy z projektantami.

**KATARZYNA PAKUŁA-KWIECIŃSKA:** Pracując w Energoprojekcie prowadził Pan geodezyjną obsługę budowli hydrotechnicznych. W jaki sposób zgromadził Pan wiedzę niezbędną do wykonywania tak specjalistycznych prac?

Przede wszystkim z literatury, zarówno radzieckiej (ta była najbardziej dostępna i najbardziej obszerna, a dostawałem ją od zaprzyjaźnionego ze mną prof. M. Modrianskiego), austriackiej, jak i czechosłowackiej. Zresztą wielokrotnie wyjeżdżałem do Czechosłowacji (Brno), która przez lata przodowała w tej dziedzinie, w elastycznym studium rozkładu naprężeń w zaporze i koncentrowaniu tam urządzeń kontrolno-pomiarowych. W rezultacie zostałem pierwszym w kraju geodetą, który projektował urządzenia kontrolno-pomiarowe na zaporach przed



Wacław Kłopociński wykonuje studium poprzeczne miejsca zapory w Solinie, 1961 r.

wybudowaniem, równoległe z projektem zapory, na etapie projektu wstępnego i technicznego (wówczas opracowywało się też ZTE i rysunki robocze). Niejednokrotnie ingerowałem w proces projektowania budowlanego, zabiegając o odpowiednią ilość wyjść z zapory dla ciągów niwelacyjnych, o szyby dla pionów czy stanowiska dla klinometrów.

Kiedyś zdarzyło się, że mogłem na projektancie pionowy szyb w stropie galerii schodów, gdyż strop był niski i nie mieściła się pod nim łąta niwelacyjna. Dodatkowo doprojektował on w stropie poziomy tunel dla celowej niwelatora, by wykonać odczyt łąty na tym górnym odcinku. Efekty można oglądać w zaporze w Solinie. Moje pomysły nie budziły większych oporów ze strony budowlanców, z którymi nawiasem mówiąc doskonale się rozumieliśmy. Przy budowie zapory w Zatoniu koło Turoszowa, która była posadowiona na bazalcie, zastosowałem jedyne w kraju wahadło rewersyjne dla wyznaczenia odchyła pionu, zaprojektowałem także pomiary tensometryczne w miejsce szczelinomierzy. Choćby na tych kilku przykładach widać, że nie była to praca rutynowa ani monotonna.

**Musiał Pan polubić te gigantyczne budowle, skoro tyle czasu i pracy włożył Pan w stworzenie wyłącznie dla siebie jedynego na świecie egzemplarza Encyklopedii Budownictwa Hydroelektrowni ilustrowanej znaczkami pocztowymi. Setki znaczków, a na nich wszystkie typy elektrowni, zapór, masztów sieci WN, turbin, organizacje budowy i różnorodne wykorzystanie zbiorników. Skąd taka bogata kolekcja?**

Znaczki zbierałem podróżując po Europie; część pochodzi znabytków i darów (te najliczniejsze, radzieckie, były dla mnie zbierane przez prof. Modrianskiego).

**Zbiór jest imponujący i można by długo o nim mówić, ale wróćmy do głównego wątku naszej rozmowy. Z pasją opowiada Pan o pracy społecznej, między innymi w kontekście kształtowania osobowości przyszłego szefa.**

Tak, w latach 1955-59 i 1962-66 pełniłem funkcję prezesa SGP. I właśnie nawyki z SGP pozwoliły mi przez kilkanaście lat zgodnie kierować kadrą Warszawskiego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego. W SGP nauczyłem się pracę organizować, zamiast dyrygować ludźmi. Kiedy w 1949 przeszedłem do PPM, powszechnie stosowano operatywy, publiczne ruganie – taka była ówczesna praktyka – jak w wojsku pruskim. Wiedziałem, że ludźmi nie można kierować przez nakazy, straszenie i poniżanie. Obstawiałem się literaturą o zarządzaniu, starałem się współpracowników przyciągać do swoich planów i zamiarów, skupiać wokół wspólnych projektów. Sukces WPG wziął się stąd, że w rezultacie załoga chciała tego samego co kierownictwo.

**Jak to się stało, że Pan, bezpartyjny fachowiec, stanął na czele największego w Warszawie przedsiębiorstwa geodezyjnego?**



Na zaporze Slapy w Czechosłowacji, 1958 r. (W. Kłopotciński czwarty od lewej)

**Nie było to chyba posunięcie zbyt popularne w tamtych czasach?**

Rzeczywiście nie znałem wielu takich przypadków. Miałem szczęście, bo rok 1964 był rokiem wyraźnego rozluźnienia w wymaganiach przynależności do PZPR. Ja nie byłem nigdy w partii, bo miałem inny światopogląd. Widziałem, jak zimą 1939/40 Rosjanie wywozili osadników wojskowych i inteligencję z Augustowa, znałem przewrotność sformułowań konstytucji radzieckiej,

drażniła mnie i raziła boska cześć oddawana Stalinowi, rozjaśnił mi się charakter komunizmu, gdy okazało się, że 99% Mazurów z Augustowskiego głosowało rzekomo za przyłączeniem ich do Białorusi.

Nie byłem też jednak wojującym antykomunistą. Miałem imam zrozumienie dla odmiennych, byle szczerych, postaw politycznych. Nigdy na przykład nie nazwałbym Staszica kolaborantem, chociaż pisał do cara pełne szacunku listy. Powracając do tematu, myślę, że wykonywałem dobrą inżynierską robotę, jako szef gwarantowałem wykonywanie planów przedsiębiorstwa, a te umożliwiały rozbudowę Warszawy, budowę nowoczesnych arterii i po 100 tysięcy izb rocznie. Sądzę, że będąc jedynym bezpartyjnym dyrektorem byłem postrzegany jako sprawny fachowiec. Żartując, myślę, że w komitecie PZPR dali mi spokój na zasadzie pewnego zjawiska, którym można było się chwalić, np. przed Czechami czy Bułgarami i na pytanie: – Czy w Polsce bezpartyjny może być dyrektorem? – odpowiadać – Oczywiście, sąsiad naszego KC przy Nowym Świecie, Kłopotciński – jest bezpartyjny. Byłem chroniony.

**Co się Panu w Warszawskim Przedsiębiorstwie udało?**

Od początku podjąłem walkę o nowoczesne przedsiębiorstwo i lepszy jego obraz, co nie było łatwe na tle zacofania geodezji miejskiej w tamtych czasach, w porównaniu ze sprawnością miejskich służb geodezyjnych w Szwajcarii, Finlandii czy Austrii, znanych mi z konferencji FIG. Trzeba było ukazać młodzieży inżynierskiej (na swoich rówieśników nie liczyłem!) piękno w posługiwaniu się nowymi technologiami i europejską wiedzą.

Dlatego wprowadziłem obowiązkowe samokształcenie. Trzeba pamiętać, że WPG zatrudniało wtedy ok. dwustu inżynierów, z czego blisko połowę stanowiły kobiety. Ponieważ nie wysyłałyśmy kobiet w teren, dla wielu z nich brakowało kameralnej pracy inżynierskiej, na co dzień wykonywały prace technika lub nawet zajęte były kreśleniem. Naprawdę trudno przecenić znaczenie, jakie miało dla nich wybranie jakiegoś inżynierskiego problemu, dostrzeganego jako pożyteczny dla WPG, iśledzenie literatury, opracowanie i wygłoszenie publicznie referatu przed audytorium liczącym 150-200 osób.

Oczywiście mężczyźni również się kształcili. Zawsze też dbałem o to, by przedstawiciele przedsiębiorstwa brali udział we wszystkich krajowych imprezach naukowych, seminariach i spotkaniach. Chciałem, by przedsiębiorstwo na bieżąco żyło z nauką i na bieżąco wykorzystywało jej możliwości.

**Pomysłem, który wzbudził wiele kontrowersji wśród załogi inie tylko, była rotacja kierowników. Dlaczego co kilka miesięcy zmieniał Pan kierowników pracowni?**

Powodów było kilka. Podstawowym była konieczność wykształcenia kadry kierowniczej zdolnej do wykonywania rozmaitych zadań. Chciałem, by wartościowi ludzie stawali przed różnymi zadaniami i uczyli się radzić sobie z nimi. Ale były też inne powody. W systemie rotacji łatwiej było eliminować tych, którzy się nie sprawdzali, nie stosując przygnębiającej formy zwolnień.

**Poza zmianami organizacyjnymi wprowadzał Pan zmiany w technologii produkcji geodezyjnej. Co by Pan uznał za najważniejsze innowacje i największy sukces?**

Po raz pierwszy wprowadziliśmy kamerę fotoreprodukcyjną, która wyeliminowała powiększanie map pantografem i umożliwiła rezygnację z wykonywania przezroczy drogą ręcznego kreślenia. Wdrożyliśmy komputer GEO2, a później komputerowy system księgowości, sprawozdawczości i zarządzania w przedsiębiorstwie.

Dzięki zakupom zeissowskiego stereoplanigrafu i stekometru opanowaliśmy jako codzienne zadanie usługowe terofotogrametrię stosowaną dotąd tylko na Politechnice. Przeszła być ona pracą naukową, a stała się zwyczajną – produkcyjną, choć dla nas była to praca nadzwyczajna, pozwalająca brać udział w ochronie piękna zabytków. Opracowaliśmy „Atlas Warszawy”, wzorowany na atlasach paru stolic europejskich.

Wreszcie utworzyliśmy Zespół Uzgadniania Dokumentacji (ZUD), który po latach doprowadził do innego spojrzenia branż inżynierskich na rolę geodety. Opracowaliśmy nakładkowy system prowadzenia mapy miasta i przeszliśmy na skalę 1:500, tak przydatną przy projektowaniu, co od nas przejął w kilka lat później cały kraj. Założyliśmy zbiór

badań geotechnicznych, w którym udało się zgromadzić wyniki ok. 160 tys. wierceń z Warszawy i okolic. Stworzyliśmy pracownię fotogrametrii lotniczej i była to pierwsza taka pracownia poza pionem GUGiK. Nie udało nam się komputeryzacja ewidencji gruntów ani dyskutowany wówczas Bank Informacji o Mieście (BIM): winna była nie dość w tym czasie zaawansowana technika komputerowa. Nasz zleceniobiorca (Stołeczny Ośrodek Elektronicznej Techniki Obliczeniowej) posiadał dalekie od automatyzacji, mało sprawne komputery ZAM. Nie udało się wdrożyć ewidencji budynków, choć wykonaliśmy już poważne opracowania dla części Woli. Temat ten podjąłem z uporem będąc już emerytem. W każdym razie u podłoża wszystkich tych zmian leżały potrzeby miasta. A my czuliśmy się naprawdę dumni z te-



Z wycieczką jugosłowiańskich hydrotechników na zaporze w Myczkowcach, 1960 r.

go, że możemy te potrzeby zaspokoić, że podejmujemy ciągle coś nowego. Budownictwo mieszkaniowe rozwijało się wtedy bardzo dynamicznie. Jednak inwestor mógł uruchomić środki pieniężne na mapy dopiero po zatwierdzeniu tytułu inwestycyjnego i zależało mu wtedy na czasie, bo nie mógł rozpocząć ani przejmowania terenu, ani projektowania bez aktualnych map. Zaproponowaliśmy ówczesnemu prezydentowi miasta (przewodniczącemu Prezydium Rady!) inż. J. Majewskiemu, by nam wcześniej przydzielał środki na aktualizację map znanych obszarów lokalizacji budownictwa mieszkaniowego – co przyjął i opłacił, a procesu budowania nie opóźniało czekanie na mapy.

Nigdy nie zapomnieliśmy o tym, że geodezja ma służyć innym branżom i że naszym zadaniem jest pilnowanie ładu w zabudowie przestrzeni miejskiej. Byliśmy otwarci na świat. Współpracowaliśmy z Niemcami, Szwajcarią, Węgrami, Jugosłowianami i przywoziliśmy nowe doświadczenia. Byliśmy w stałym kontakcie ze światem geodezji europejskiej.

**Jeśli było tak dobrze, to dlaczego po Pana odejściu na emeryturę, opóźnionym zresztą o dwa lata poza wiek emerytalny, tak wiele się zmieniło? Czy nie zdołał Pan przez te lata dochować się następców?**

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Upatrzeni przeze mnie, zostali przechwyceni przez Zjednoczenie Biur Projektowych. Poza tym skończyła się bajka z bezpartyjnym fachowcem. Wiele z kolejnych decyzji o obsadzeniu stanowiska dyrektora WPG było decyzjami politycznymi, nic więc dziwnego, że na ich tle myśli się o mnie jako o dobrym dyrektorsze WPG.

**Czy po przejściu na emeryturę zwolnił Pan nieco tempo życia?**

Nie, zdecydowanie nie. Byłem w tym czasie doradcą GEO-KARTU i w Bagdadzie opracowałem projekt organizacji służby geodezyjnej. Jeszcze bardziej intensywnie działałem w SGP, podjąłem na sesjach nowosądeckich zbiorową walkę o przejęcie przez geodetów gospodarki gruntami i wyceny gruntów. Przyczyniłem się do przywrócenia w projekcie prawa geodezyjnego zakresu ewidencji budynków; a miastem systematycznie odbywających się co 2 lata sesji jest moje rodzinne miasto – Kalisz.

Obecnie posiadam własne biuro wyceny nieruchomości i jestem członkiem zarządu i członkiem-założycielem Polskiego Stowarzyszenia Wyceny Nieruchomości. Będąc już na emeryturze wykladałem przez kilka lat na Politechnice Warszawskiej „Organizację wykonawstwa geodezyjnego”, naturalnie w warunkach wielkich państwowych przedsiębiorstw.



Zainicjowałem, jako doradca obecnego dyrektora WPG, „Atlas województwa warszawskiego” i opracowałem jego koncepcję, jako atlasu na użytek działaczy samorządowych i gospodarczych, zaprojektowałem też warszawski wojewódzki system rejestracji cen gruntów. Wreszcie miałem też więcej czasu dla siebie: wybudowałem domek rekreacyjny nad Zalewem Żegrzyńskim, miejsce licznych spotkań przyjacielskich. Napisałem ceniony przez praktyków poradnik wyceny nieruchomości. A więc: pobieram emeryturę – usiłuję jednak nie być w stanie emerytalnym.

**Ma Pan za sobą 62 lata aktywności w geodezji, w tym 24 lata na stanowiskach kierowniczych. Wiele razy zastanawiał się Pan zapewne, dlaczego kondycjadzisiejszej polskiej geodezji jest taka marna?**

Nasze najwyższe władze geodezyjne nigdy nie podporządkowały się idei, że konsumentem mapy nie jest geodeta. Te stałe zmiany układów, treści, znaków i stylu – to błąd pierwszy. Wiele złego dla polskiej geodezji, szczególnie miejskiej, spowodowało w okresie międzywojennym zaniechanie katastru, co wynikało z przeniesienia rosyjskiego modelu pomiarów szczegółowych, za pośrednictwem naszych skądinąd wybitnych profesorów, absolwentów Instytutu Konstantynowskiego w Moskwie, który nie uznawał katastru i zasad wprowadzania zmian na poprzednim szkicu katastralnym.

A więc przepadł model szkicu polowego w skali, mimo wprowadzenia go oficjalnie w r. 1928 przez Ministerstwo Robót Publicznych „Przepisami Pomiarowymi ...”, które w § 50 zalecały: „, przy pomiarach uzupełniających poprzednio wykonanych planów można sporządzać szkice polowe na szkicownikach według odnośnych przepisów katastru”. Błąd ten ciągnął się latami i umiera śmiercią naturalną dopiero z chwilą powstawania mapy numerycznej.

Mam też inny pogląd na organizację katastru. Kataster nieruchomości nie może być zbiorem informacji zbieranych i wprowadzanych do systemu przez geodetów – jest to nieumiejętność widzenia współpracy branż.

Geodeta powinien zarządzać systemem informacyjnym, ustalać warunki transmisji informacji, lecz informacje źródłowe powinien tworzyć, zbierać i aktualizować branżysta: informacje o geometrii nieruchomości należą do geodety zatrudnionego w administracji katastralnej, informacje o własności – do prawników w wydziałach ksiąg wieczystych (działa już taki system w Wiedniu!), informacje o budynkach – do władzy budowlanej, informacje o wartości katastralnej – do urzędów skarbowych. Prawo budowlane nakłada obowiązek gromadzenia dokumentacji budowlanej, zakładane są już skomputeryzowane księgi wieczyste, z których transmitowane będą aktualne wpisy i przyspieszą obrót nieruchomościami i ich zastaw.

Niestety, zapowiada się inna organizacja systemu, co uważam za wynikające z frustracji uprawiania wyłącznie geodezji: nie przystoi wchodząc w wiek informatyki nie posługiwać się danymi tworzonymi przez fachowców właściwych branż. Ale nie do mnie należy dawanie rad, mój czas minął.

Sukcesem geodezji jest to, że udało się stworzyć pokaźny zbiór

map i informacji. Nie jest on doskonały, ale istnieje. Służby budowlane i geologiczne w ogóle nie stworzyły takiego systemu.

**Był Pan przez te wszystkie lata autorem wielu publikacji, w tym książek. Które z nich wymieniliby Pan jako najważniejsze?**

Spora radości sprawiła mi praca pt. „Tachimetra”. W tamtych czasach ciągle ktoś doktoryzował się z tego tematu. Mam wrażenie, że moja książka wyczerpała raz na zawsze te możliwości. Druga praca, którą darzę szczególną sympatią to „Geodezja w projektowaniu elektrowni wodnych”. Zawsze byłem typem pragmatyka i przy pewnym zacięciu naukowym przenosiłem mą docieklivość na prace produkcyjne. Wzorów łączenia nauki z praktyką nie musiałem szukać daleko, w czasach, kiedy studiowałem na politechnice, nasi profesorowie poza pracą pedagogiczną prowadzili też firmy geodezyjne, nie istniał rozdział tych dwóch światów.

**Jak Pan ocenia wykształcenie, jakie odebrał Pan w młodości?**

Cóż, ze studiów na Politechnice Warszawskiej zostałem mi właściwie tylko sposób myślenia w poszukiwaniu rozwiązań. Nauczyłem się tam podejścia do zadań inżynierskich. Natomiast prawie wszystko inne zdewaluowało się wcześniej czy później. Zdezaktualizowały się metody pracy, do muzeum przeszło stare instrumentarium. Bardziej trwała okazała się wiedza humanistyczna zdobyta w gimnazjum. Humanistyczne zainteresowania wyniesione ze szkoły zaowocowały ciekawością życia ludzi, ich różnorodnych pasji i zajęć. Horacy łagodzi obyczaje, gramatyka łacińska (która pozwoliła mi w szkole zarabiać korepetycjami) nie chce wywietrzeć z głowy i nawołuje do przestrzegania reguł. Literatura klasyczna, historia kraju, kolekcjonowanie obrazów, starej porcelany i specjalnych znaczków – oto co nie minęło. Obok zamiłowania do pracy to pasje, którym oddaję się i dziś. Dużo podróżowałem, a i teraz

łatwość spędzania urlopów na Południu daje radość ze słońca i z oglądania śladów cywilizacji antyku. A za kilka dni wybieram się w góry, niestety, już nie na narty.



Z wnuczką w Szklarskiej Porębie, 1984 r.

Wacław Kłopociński – urodzony 15 października 1911 r. w Kaliszu. Maturę zdał w 1930 r. w Gimnazjum Humanistycznym im. A. Asnyka w Kaliszu, zaś w 1937 r. kończy pracę dyplomową z fotogrametrii studia na Wydziale Geodezji Politechniki Warszawskiej. Od 1934 r. pracuje przy pomiarach Warszawy. Mierniczy przysięgły w latach 1945-1949 – w dorobku mapy 10 miast (m.in. Suwałki, Augustów, Błonie, Czyżew, Sierpc), 5 scaleń wiejskich, mapy stacji kolejowych, np. Warszawa Zachodnia, Szczęśliwice. W latach 1944-1949 – dyrektor odlewni żeliwa w Grodzisku Mazowieckim. W 1949 r. zostaje dyrektorem technicznym oddziału warszawskiego Państwowego Przedsiębiorstwa Mierniczego. Od 1953 r. projektuje urządzenia kontrolno-pomiarowe elektrowni wodnych pracując dla Energoprojektu. W latach 1964-1978 jest dyrektorem WPG; gruntownie reorganizuje geodezję miejską. Od 1978 r. – emeryt, doradca PEGiK GEOKART, wykładowca PW z dziedziny organizacji prac geodezyjnych, rzeczoznawca majątkowy, autor programu „Atlas województwa warszawskiego”. Wydawnictwa: 5 książek, ok. 100 artykułów, „Nulla dies sine linea”. Odznaczenia, które najbardziej ceni: Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia, Zasłużony dla Kultury, Złota Górka Odznaka Narciarska, członek honorowy Stowarzyszenia Geodetów Polskich, Węgierskich, dawnej Jugosławii, Członek SGP, TUP, PSRz. W. Nier. Dochował się trójki dzieci, siódemki wnuków i dwójki prawnuków.